

Wyjątek z komedyi Ponsarda.

## GIEŁDA.

---

### AKT II.

Mieszkanie Leona w Paryżkim hotelu.

#### SCENA PIERWSZA.

LEON, ALFRED, ESTELLA (*siedzi w koczecie*).

Alfred.

Brawo! Rąco ku Giełdzie idziesz, mój aniele!  
Rozumnéj, widzę głowie, niepotrzeba wiele,  
A ja ci dozupełnię naturę bogatą,  
—Estella mi pomoże.

Estella (*do Leona*).

Czy przystajesz na to?

(*Leon kłania się oziębło*).

Alfred (*do Leona*).

Nikt, jak ona, na wszystkiém znać się nie jest w stanie;  
Obaczysz.—Najprzód trzeba urządzić mieszkanie.

Estella (*wstaje i ogląda dokoła*).

Któż porządny w hotelu może mieszkać śmieie?

Alfred.

Ona ci własną ręką gniazdeczko uściele,  
Spuść się na nią, bo różne przechodziła szczeble;  
Nie raz, przez nią kupione, woźny sprzedał meble.

Estella.

Tak, bywało to różnie, kiedy się los zaciął,  
I Giełda pochłaniała wiernych mi przyjaciół;

Otóż, pragnąc zejść teraz z tak pochyłej ściészki,  
Chcę jednego mieć z *spadku*, drugiego z *podwyżki*.

Alfred (*śmiejąc się*).

Nie źle!

Estella.

Lubię wesołych i zawsze i wszędzie.

A jeden z tych, z pewnością wesołym wciąż będzie.

(*Idzie zasiąść koło stolika, bawiąc się nożykiem do rozciniwania i książką*).

Alfred.

Weź zaraz mego krawca, on w najlepszym tonie;  
Trzeba mieć własny powóz i czystej krwi konie,  
Przezwij klacz, jakiej Missy, drugą Ledy, mianem,  
Mów o sport'ach, o turf'ach, a będziesz gentlmanem;  
Wyprawiaj kolacyjki, mów o wszystkiém zgłę, a  
Lecz zinnno, obojętnie, z ironią u czoła:  
Przedrzwiewaj sobie z uczuć, miéj w ciągłej szyderce  
Te głupstwa, którym imię miłość, wielkość, serce;  
A w niczém przekonania, bo to śmieszność szerzy:  
Entuzjazm jest to rozum co wszystkiemu wierzy.  
Cóż jest złém albo dobrém, kto wnikł w grunt żywota?  
Zapał tylko godziwy w rychłym zbiorze złota.  
Nie czytaj—dzień ma tyle zajęć—a więc na co,  
Zaprzętać się nauką, umysłową pracą;  
Będziesz mędrszym—lecz za to, inniej w fryzurze blasku,  
I zapomnisz w Bułońskim pokazać się lasku.  
Pewności, dumy, mnóstwo i grzészaków w potrzebie,  
A w przeciągu miesiąca ani poznasz siebie;  
Staniesz się co do joty z pańska doskonałym—  
Lecz, o jednym warunku jeszcze zapomniałem,  
A to główny.

Leon.

O jakim?

Alfred.

Dziś z nami wieczorek,  
Prócz Estelli i Maryi, mały osób zbiorzek,  
A jeżeli z niemi węzeł zawiążesz stosunków,  
Nic ci już do wskazanych nie braknie warunków.

Leon (*z żywością*).

Nie—nie pójdę.

Alfred.

Zkądże wstręt i powód do sprzeczki?

Estella.

Pan pewno woli uśmiech wiejskiej młynareczki,  
Jój przysiągł miłość w gaju, śród nocy tajemnej,  
A gwiazdy wysłuchały przysięgi wzajemnej.

Leon.

Żart w tym względzie, mnie drażni, technie duchem obmowy,  
Proszę więc, byś téj pani, zaniechała mowy.

Estella (*z przesadną powagą*).

O! zaniecham już żartu — a z uszanowaniem...

Leon.

Ni tego, ni tamtego. Zamilczeć mém zdaniem.

Estella (*na stronie*).

Cóż za niedźwiedź!

Alfred.

Wieśniaku, zatwardziały w cnocie!  
Nie będziem już nastawać dłużej w tym przedmiocie;  
Lecz błądzisz, sądząc że to, w życia twego kresie,  
Przyszłemu ożenieniu jaki szwank przyniesie.  
Początek od metresy, koniec na hymenie;  
Czy myślicie, że posag u nas w małej cenie?  
Że wzorem dawnéj młodzi - uciechą porwani,  
Wszystko, a nawet pieniąż, poświęcamy dla niej?  
Nie, nie. Nasze szalenstwo ma zakres poważny,  
Mamy węż, tam gdzie leży kapitał posażny;  
Bawimy się na zimno, szal z flegmą w połowie,  
Śpiew rozpustny na ustach — spekulacye w głowie.

Estella (*wstając*).

Mile słówka, doprawdy. Ta szanowna młodzi,  
Daje nam ten czas tylko, co jój z Giełdy schodzi,  
Taki zapal ich grzeje, uczucie pierś rani —  
A potem narzekają, że nie są kochani!  
Jakiem czołem wy śmięcie, wy — zakamieniali,  
Wyrzucać nam płochości, coście w nas przelali?  
Dla czego rzucać kaźnię, co wzgardy udziela,  
Na kobietę skuszoną, nie na kusiciela?  
A jednak — któż winniejszy, większą grzeszy winą,  
Czy bogaty rozpustnik, co wszedł w targ z dziewczyną,  
Czy dziewczyna, co w szczęściu, żyłaby jak cnota,  
A gdy w nędzy — upada przed pokusą złota?  
Otracacie się dla nas, mówicie w zły wierze —  
Można, można spokojnym być o was w téj mierze,  
Nie jesteście tak hojni, hojność wam nie służy:  
To grając w grę giełdową, każdy się z was dłuży,

A puszczając na hazard owoce prac długich,  
Gdy gubicie się sami—gubicie i drugih.

Alfred (*do Leona*).

Ona czasem dziwaczy, i wpaść w zapał umie,  
Lecz niech się grzmot wyhuczy i potok wyszumi,  
Burza przejdzie. Tyś winien, boś ją swemi słowy,  
Trochę natchnął, nastroił na ton sielankowy.

(*Estella znów siada w kozetce*).

—Wieczór spędzim bez ciebie—a jutro, mój drogi,  
W dostojne mojej ciotki wprowadzam cię progi;  
Tam cię poznam. Lecz z góry ostrzedz cię ośmiele,  
Że nie znajdziesz tam zabaw i wesela wiele,  
Nudno trocha—i ja tam nudzę się namiętnie.  
Ale niewiem dla czego idzie się tam chętnie,  
A raz wszedłszy—pamiętaj, ostrzegam zawczasu,  
Zrzuc z siebie, jak łachmany, ducha tego czasu:  
Równość, prawo i postęp i swobodna praca,  
Wszystko to cuchnie ludem i tam nie popłaca.  
Mieszczaństwu oddajemy te stare grymasy:  
Feudalność! to złote, złote u nas czasy!  
Ośmdziesiątdziewiąty gań jak daty niecne,  
Bo to ztamtąd, o! ztamtąd wyszło złe obecne,  
Wychwalaj lenne prawa, pensye klasztorne,  
I dziedzictwa wspaniałe i pałace dworne;  
Wysławiaj urodzenie, wierząc duszą całą,  
Że szlachectwo najwyższą dotąd jeszcze chwala;  
Z ostatniego kazania przytocz tekst zdobyty,  
A będziesz tam przyjęty jak człek przyzwoity.  
—Jeszcze jedno. Miłośnie opowiadaj plotki,  
Tém sobie zjednasz młode od razu dewotki.

A teraz cię pożegnam—naplotłem ci tyle!  
Powierzony mi jesteś, widzę cię zbyt mile,  
Lecz trzeba otrząść z pyłu, okrzesać wieśniaka.  
—Chodź Estello.

Estella.

Bywaj zdrów pasterzu.

(*wychodzą*)

Leon (*sam*).

O! jaka  
Towarzyszka! I on śmiał—to chyba z pustoty,  
Przyprowadzić ją do mnie. O! Kamillo!

(*Delatour wchodzi*)

Leon (*obracając się na szmer*).

To ty?



## SCENA DRUGA.

LEON, DELATOUR (*przychodzi z portfelem*)

Delatour.

No, Leonie! masz swoje summy i wartości.

Leon.

Dzięki?

Delatour.

A wiesz, do jakiej doszły wysokości?

Leon.

Do jakiej?

Delatour.

Prócz drobniejszych zysków, masz mniej więcej,  
Zarobionych dziś, dwakroć sześćdziesiąt tysięcy.  
To pięknie.

Leon.

Ani słowa — poszło nam z początku,  
Szczęśliwie.

Delatour.

Nawet więcej szczęścia niż rozsądku!  
Tém lepiej. Więc dodawszy coś wziął z ojcowizny,  
To masz razem, okrągło, trzykroć gotowizny.

Leon (*rozkładając bilety bankowe na stole*).

Tak.

Delatour (*jakby wyprawiając go*).

Teraz wiesz cudowna; gaj, łąki zielone.

Leon.

Zmiany zaszke w świecie są nieocenione.

Delatour.

Gdyby można zawierzyć twojemu wprzód słowu,  
Tobys, na tém przestawszy, wrócił na wies znowu.

Leon.

Zaszke wprzód — zlepszyłyby znacznie stan pieniędzy.

Delatour.

Więc odjeżdżasz?

Leon.

Odjeżdżam.

Delatour.

Radzę jak najprędzej.

Leon.

Tak jest, tak. Za dni kilka. Za twoją opieką,  
Sprzedałem. Dobrze wyszedł. Z tém wszystkiém—daleko  
Wyżej jeszcze pójść mogą akcyje na drogi.

Delatour.

Jakto, czy już nie jedziesz?

Leon.

I owszem, mój drogi!

*(Oddaje mu część biletów bankowych, które przyniósł Delatour)*

Lecz, dobrzeby dać obrót tym—niechaj obiega.

*(Obracając się do Delatoura).*

A co? Gdybym cię słuchał, nie miałbym ot tego.

—Zawsze Giełda u ciebie rzezią i ohydą?

Delatour.

Zawsze.

Leon.

Dla głupców, którzy sami pod nóż idą;  
Lecz dla nas, którym przyszłość niepokryta cieniem,  
To dumna walka człeka z twardém przeznaczeniem.  
Jakże miło los zwalczyć, uragać mu skrycie,  
Otóżto, filozofii wszechwładnej użycie!

Delatour.

Filozofii?

Leon.

No tak. Chcesz na to dowodów.  
Nie trzebaż poznać ludzi i ducha narodów?  
Pójść w ślad za polityką, badać jej pobudki,  
Z jakich przyczyn zarodka, jakie wyszły skutki,  
Wejść w plany gabinetów, a zręcznością taktu,  
Wyciągnąć niewiadome, z wiadomego faktu.  
Wielki umysł giełdowy, wraz w sobie zamyka,  
Wielkiego filozofa, jak i polityka.

Delatour.

Ho, ho!

Leon.

Wszak podziwiamy, kiedy śmiałe oko  
Zbada niebo i gwiazdy, tak nad niém wysoko;  
Chociaż one w swym chodzie, ruchu oddalonym,  
Posłuszne prawom stałym i nieporuszonym.  
Ale ten, co poznawszy żądz ludzkich szaleństwa,  
Ukróci je, i ujmie w karby posłuszeństwa,

I nagnie do swych celów poryw ich skrzydlaty,  
 Ten więcéj, więcéj czyni, niżby ódkrył światy.  
 — Patrz na to zbiegowisko ludów, które wzajem  
 Pomieszały się mową, stopniem, obyczajem,  
 Jak to biegnie do Giełdy, drga jój ruchem, zdaniem,  
 Bo ona świata sercem i ześrodkowaniem.  
 Ona węzłem, co wszystko łączy, wiąże czynem,  
 Przyjaźni Londyn z Wiedniem, i Paryż z Berlinem,  
 A sądząc własnym sądem strony niespokojne,  
 Nośi w fałdzie szat swoich, pokój albo wojnę.

Delatour.

Ztąd wniosek, że już na wieś nie pojedziesz wcale.

Leon.

Owszem—jadę, pojedę, dlaczegóż nie? Ale  
 Wprzód trzeba się namysłéć, rozważyć pomalu,  
 Jak i gdzie ulokować resztę kapitału.

Delatour.

To ja biorę na siebie.

Leon.

A potém—prawidłem,  
 Że nie podcinać skrzydeł gdy się leci skrzydłem...  
 —Po pierwszój stracie basta—i już się nie mierzyć.

Delatour.

Otóż, tacyście wszyscy!

Leon.

Wtedy, chciéj mi wierzyć...

Delatour.

Wierzyć? Jam ci i pierwéj wiarą nie odpłacił,  
 Bo któż z was się zatrzymał wprzód nim wszystko stracił?

Leon.

Myślałby kto że pragnę pozostać tu wiecznie;  
 Czegóż chcę? Oto jeszcze kilku dni koniecznie.  
 Trzeba téż poznać Paryż, dokładnie go zwiedzić.  
 By potém przed Kamillą mieć co opowiedzić.

Delatour.

Otóż to ten kochanek, dla którego duszy  
 Każda chwila czekania, chwilą mąk, katuszy!  
 Więc zgaśł zapal miłośny, znikł smutek z rozstania,  
 A Giełda zastąpiła drogi cel kochania?

Leon (*żywo*).

Co ty mówisz! O! nie karń tak gorzkim mnie chlebem,  
 Czy możesz porównywać swą ziemię z méj niebem?

Jazbym tak był nikezemny, miał duszę tak czarną,  
Bym wyżej nad Kamillę stawił Giełdę marną?  
Jabym raczej te stopy banknotów, tysięcy,  
Wyrzucił—i odepchnął stokroć jeszcze więcej,  
Gdyby złoto, któremu śmiałem błogosławić,  
Jednego jój uśmiechu mogło mnie pozbawić.  
Lecz dlaczegoż na skarb ten miałyby grom ciskać?  
To dla jój pozyskania umiałem go zyskać,  
Jój to wzywam imienia—ona gwiazdą bożą,  
Kierującą mą łódkę tą wichrów bezdrożą,  
A jeżeli dalszą walką pragnę skarb pomnożyć,  
To ażebym miliony mógł u nóg jój złożyć.

Delatour.

A jeżeli twój rywal wprzód się znią ożeni?

Leon.

Nie—Kamilla wysoko słowo swoje ceni;  
Będzie czekać. Bo taki hart duszy posiada,  
Że fałszu przyrzeczeniu swojemu nie zada.

Delatour.

Wprzód nie byłeś tak ufny, o płochość ją winił.

Leon.

To prawda. Niedostatek niesłusznym mnie czynił;  
Lecz nie mogę tak lekko uczucia jój cenić,  
By kilku dni rozdziału mogły ją odmienić.

Delatour.

Czyń jak chcesz, rządź się dalej według własnej woli;  
Co do mnie—dość pociesznój podjąłem się roli;  
Lecz powtarzam raz jeszcze, ku twojej ochronie,  
Że szczęście jest po tamtój, rozpacz po tój stronie:  
Wybieraj przeto stronę, co cię więcej łechce,  
Ja, za dalsze następstwa odpowiadać nie chcę.

(*odchodzi*)

Leon (*sam rozważając*).

A może—ja—doprawdy już graczem? O! błędzieli  
Ja, graczem?—o! co tego, to nigdy nie będzie!

Henryk Cieszkowski.

